

Kapłani wstrzemięźliwości na wsi

20 grudnia 2014

Do głuszy wiejskiej dziennik wielkowiejski przyniósł wiadomość o nowej reformie zapoczątkowanej przez higienistów warszawskich. Mianowicie: włościanie powinni przestać palić. Obliczono bowiem (tzw. statystyka zawsze jest na zawołanie!), że „chłopi tracą rocznie na tytoń tyle a tyle milionów”, że „wchłaniają tyle a tyle balonów nikotyny”; zadekretowano tedy, że jako rzeczy nieświadomi nie wiedzą, co czynią, i że należy ich w tym względzie oświecić. Zrozumieją bowiem, że za te przepalone miliony mogą zaprowadzić w gospodarstwach rolnych błogostan wyśniony zaledwie przez autorów książek rolniczych, a w domu stworzą raj higieniczny. Nie mówiąc już nic o tym, że pod względem fizycznym nabiorą tężyzny, że naród będzie posiadał włościan silnych, zdrowych, dobrze karmionych i szczęśliwych.

Królestwo fantazji nie podlega żadnym ograniczeniom; jedno tam tylko panuje prawo – bezwzględnej wolności. Zaczynamy marzyć i wnet, płynąc linią zaświatową najmniejszego (zeru równającego się) oporu znajdujemy się po chwili w nieskończoności. Mówiąc aktualnie, w zastosowaniu do sprawy – zręczny, wytrawny palacz zaczyna „puszczać” kółka, wnet cała gromada, sto, tysiąc zapełnia pokój, łączy się ze sobą w wieńce, w girlandy, które suną przed nami napowietrznym szlakiem hen! w lazury. A oko, co za nimi podąża wnet z równowagi wychodzi i może się zdarzyć, że oko sceptyka przeobrazi się w oko fantasty...

Wiadomo, że nie zaproszę szanownych projektodawców przed forum „nauki”. Przegrałbym z kretelem. Tam bowiem przede wszystkim decydują argumenty statystyczne, najogólniejsze prawa, abstrakcje oderwane od czasu i przestrzeni. Ale przeprowadzę dowód prawdy przed stołem sędziowskim rozumu praktycznego, konieczności życiowej, historycznej. Przeprowadzę – bo będę

miał za sobą argument rzeczywistości, socjologii, moralności.

Muszę bowiem zwrócić uwagę na to, że włościanin, o którym mowa, nie jest kategorią logiczną; to jest nasz, rodzimego chowu, młodszy brat po pługu. Publicyści wszystkich obozów przypisują mu niezliczoną ilość zalet i wad, jemu jakoby specyficznym właściwych. Wydaje mi się – im dłużej wśród ludu przebywam, w miarę możliwości badając jego potrzeby, słuchając jego skarg i żalów, wglądając w jego niezmiernie ciekawą duszę – że on – włościanin – nie posiada wcale ani jednych, ani drugich. Posiada on, mianowicie, wszystkie cechy nam ogółowi polskiemu właściwe. Jakiś dowcipniś miał powiedzieć że „każdy kraj ma takich Żydów, na jakich zasługuje”. Aforyzm ten ma rację bytu, tylko że go należy rozszerzyć na wszystkie warstwy tej wielkiej całości etnopsychologicznej, którą nazywamy narodem. I ma sens o tyle, o ile rozumieć go będziemy w tym znaczeniu, że naród jest jedną całością, że pojęcie tego zawiera pewną sumę cech stałych, charakterystycznych dla wszystkich bez wyjątku warstw, całość tę składających. Nasza wieś jest brudna; brudnym jest nasz włościanin, brudnym jest nasz Żyd. Ale zajrzyjmy do Niemców, na prawdziwą niemiecką wieś – tam i chłop, i Żyd są pod względem czystości zupełnie zasymilowani ze sobą. Są to zjawiska może znane, ale nader często zapoznavane.

Słyszałem przed laty z ust jednego z największych etnopsychologów stulecia, jakie pod tym względem odbierał wrażenia. Mówił on mianowicie, że wieś brandenburska, uważana za czystą, jest po prostu brudna w porównaniu ze wsią szwajcarską, w której każde obejście gospodarskie robi wrażenie warsztatu, na którym pracuje jakiś rzemieślnik-amator, a urok jej niknie, kiedy zwiedzamy wieś belgijską, gdzie na gumnach panuje już po prostu poezja: tu parobkowie z kompostowych śmieci układają imiona swoich kochanek... Może to się komu wydawać śmiesznym. Dla człowieka, który chciałby zbadać bliżej duszę zbiorową – dokumenty takie posiadają nieocenioną wartość.

Otóż brudnym jest nasz włościanin dla tego samego powodu, dla którego my wszyscy jesteśmy brudni. Nasi higieniści niejednokrotnie wytykali damom wielkomiejskim, że żyją same i trzymają dzieci w warunkach możliwie niehigienicznych. Nie używają kąpeli. Rzadko zmieniają bieliznę. Niejednokrotnie skarżyli się lekarze na nieporządki panujące poza zewnętrzną kurtyną (możliwie jedwabną, możliwie szeleszczącą) swoich pacjentek. I tak od góry do dołu w całym społeczeństwie.

A że tak jest, tedy, jak mi opowiadali włościanie, bez papierosa obejść się nie można. Proszę, usilnie proszę każdego higienistę, który w sprawach zdrowotnych wsi naszej głos zabiera, aby zwiedził albo raczej często i w dużej ilości zwiedzał chaty wiejskie, czworaki dworskie i chałupy gospodarskie, aby przyglądał się porządkom tam panującym, rozmiarowi izby, ochłodostwu i zamożności tych tragicznych siedzib, które wstyd jest nazywać domem, gdzie przebywa homo sapiens v. industriosus. Otóż w takich warunkach śmiem mniemać, że gdy chodzi o zewnętrzny symbol ujawniający grę wewnętrzną czuć i uczuć, to palenie tytoniu powinno być raczej uważane za dowód bardziej rozwiniętej działalności kulturalnej; to jest bowiem dowód, że jednostka grzesząca przeciwko nakazom higieny reaguje już na czynniki ją otaczające, że protestuje w granicach możliwości do wykonania jak najłatwiejszej przeciwko tym smrodliwym, niehigienicznym, niespołecznym, nikczemnym warunkom bytowania. I ten argument mógłby się komukolwiek wydawać niewystarczającym. Przypomnę tedy wrażenie, które odebrałem przed laty wielu za studenckich czasów: w prosektorium siedzi na zydelku gentleman preparujący kość ludzką: w jednej ręce trzyma skalpel, w drugiej kromkę chleba, wszystko okrwawione: ręce, twarz, chleb. I uśmiecha się do przybysza, który na jego widok otwiera usta z przerażenia. Po tym dowiedziałem się, że tacy gentlemeni wypijają nawet spirytus z baniek, w których spoczywają spreparowane mózgi ludzkie. Oczywiście takim jest „wszystko jedno”. Oni już palić nawet nie potrzebują, choć powszechnie ludzie twierdzą (mylnie zresztą), że każdy anatom musi palić.

Oto jeden argument na korzyść palenia u ludu. Ale nie koniec na nim. Dlaczego, jakim prawem chcemy pozbawiać włościanina papierosa, kiedy palenie jest „przyjemnością”. Pomyśleć tylko, jak rozległą jest sfera rozkoszy w klasie zamożnej, u inteligentów, w mieście. Pod tym względem wyrobnik miejski jest nawet w szczęśliwszym położeniu. Możemy uczęszczać do teatrów, na koncerty, samym uprawiać muzykę, śpiew, czytać różne bardzo ciekawe, rozweselające albo naprowadzające tęsknotę książki, bawić się piórem lub rozmową. Dla nerwów naszych świat stoi otworem. I porównać z tym podzwrotnikowym, barwnym, pysznym ogrójcem widnokręgi świata i życia włościańskiego! Dobrze, gdy się przynajmniej czytać umie. Dobrze, gdy się w tym światku „zabitym deskami w koło” – książka znajdzie. Ale oczy zmęczone pracą, poczerwieniałe od wiatru – nie zawsze mogą spokojnie wodzić po zadrukowanym papierze. Nie zawsze też kaganek chce się albo i może dobrze palić. W izbie ciasno, dzieci swawolą, często i inwentarz dokucza – przy fajce czy przy papierosie nerwy nabierają jakiejś prężności, młodnieją, rozgrzewa się fantazja – człowiek zapomina na chwilę o rzeczywistości, która doskwiera, o nieurodzaju, o niezapłaconych podatkach, o krowie, która zdechła... Uderzmy się w piersi, my inteligenci, którzy prócz wielu nauk posiadamy i „początki” higieny – kto z nas nie chłłoszcze, nie podnieca swoich nerwów. Jeden pije absynt, drugi w czarnej kawie szuka natchnienia, trzeciemu miłująca męża i spokój małżonka mokkę zamienia na kawę figową, czwarty naciera ciało zimną wodą, piąty – gorącą i tak w nieskończoność. Zważmy, że to są wszystko już nader silne środki i że krzywda, u której początku one się znajdują, kończy się na orgii morfinistycznej.

A palić – jakże my palimy? Mówią, że dziś coraz mniej ludzi zaczyna palić. Istotnie tak jest. Ale czy ceteris paribus włościanin pali tak, jak inteligent? Ostatni spożywa dziennie 10, 20 do 40 nawet papierosów, gdzież włościanin ma czas i środki na takie marnotrawstwo! [1] Nie ma czasu i nie ma środków! Rozumny gospodarz nie pali nigdy w podwórzu

gospodarskim, w stajni, w stodole, z obawy pożaru. Środki są ograniczone i każdy dobrze się namyśla, czy „ukręcić jeszcze jednego papierosa”, może bowiem „nie starczyć do niedzieli tytoniu”. Higieniści twierdzą, że nałóg palenia wzmógł się u nas w ostatnich kilkudziesięciu latach. Pytałem starych włościan – nikt nie potwierdził tego poglądu. Tu w mojej okolicy były dawniej plantacje i lud ponoć więcej palił, niż dzisiaj. Może gdzie indziej było inaczej. To zaś pewne, że ów samorodny tytoń był lepszy, a że palono fajki, tedy i proces palenia nie był tak szkodliwy. Nie ludu zaś wina, że produkcja tytoniu u nas upadła. Przyczyny są znane i historycznie stwierdzone jednakowe dla naszych i dla podolskich np. stosunków. Nie wina też ludu, że przestał posiłkować się cybuchem. Nasi ojcowie czy dziadowie palili fajki – lud ówczesny szedł za ich przykładem. Współcześni palą papierosy – lud czyni tak samo. A że w pierwszym wypadku pali się bibułka francuska, a w drugim – zwyczajny nawet zadrukowany papier, to nie wina palacza, jeno kieszeni. Wedle stawu grobla!

Przestańmy wreszcie moralizować. Lud nie potrzebuje zupełnie moralizacji. Domy budują się od fundamentów a nie od dachu. Stwórzmy najpierw higieniczne warunki, a potem zobaczymy, że i człowiek stanie się zupełnie higienicznym. Gdyby panowie higieniści wynaleźli sposób przeobrażania piasku w złoto, to wierzę głęboko, że w krótkim czasie mielibyśmy na wsi czworaki wzorowe, omal że nie kanalizację, ochronki wiejskie, może nawet kluby i resursy. Zakwitłyby wtedy wszelkie cnoty – higieniczne i moralne. Włościanin przestałby palić zły, niezdrowy tytoń, sięgnąłby po lepsze gatunki, a może by, mając co lepszego do roboty, przestał zupełnie palić. Ale nasz piasek mazowiecki, jak był, tak jest sypki i niełaskawy, tedy czekać musimy. Może ten postęp spłynie na wieś naszą, z innych jeszcze pochodząc źródeł. Już dziś inaczej myśli i czuje chłop niż przed dwudziestu, przed dziesięciu laty. A stało to się nie za sprawą moralizatorów i bynajmniej nie za sprawą higieny albo nauki w ogóle. Stało się. A więc i wiele innych dobrych, potrzebnych rzeczy narodzić się jeszcze może. Jestem z tych,

którzy wierzą, że się narodzić muszą. Ale nic w zamian tymczasowo nie dając, nie mam odwagi odbierać tego, co jest, a co może i jest szkodliwe, ale czego zastąpić w tej chwili nie miałbym czym po prostu.

I dlatego, jak mówiono dawniej, składałam do łaski opinii publicznej moje niehigieniczne, przeciwko surowym projektom bezwzględnych kapłanów wstrzemięźliwości liberum veto.

Autorstwo: Stanisław Posner

Felieton pochodzi z książki „Drogi samopomocy społecznej. Szkice i wrażenia” z 1903 r.

Źródło: [Lewicowo](#)

PRZYPIS

[1] Według moich spostrzeżeń włościanin pali przeciętnie, o ile jest „palaczem”, 2 paczki tytoniu po 18 gr. na tydzień. Silniej rozbudzona „namiętność” czy „nałóg” podnosi tę cyfrę do 4 paczek na tydzień.